

GUILLAUME
MUSSO

DZIEWCZYNA
Z BROOKLYNU



ALBATROS

Antibes, środa, 31 sierpnia 2016

Zdarzyło się to trzy tygodnie przed naszym ślubem. Nadchodzący długi weekend zapowiadał się na cudowny przerw-
nik w gorączce przygotowań weselnych, miało to być wyrwane
codzienności nasze sam na sam pod słońcem późnego lata na
Lazurowym Wybrzeżu.

Wieczór zaczął się bardzo dobrze: spacer po wałach obron-
nych starego miasta, kieliszek merlota na tarasie i spaghetti z
małżami pod kamiennym sklepieniem restauracji Michelangelo.
Rozmawialiśmy trochę o pracy, o czekającej nas uroczystości w
skromnym gronie: dwóch przyjaciół w roli świadków i mój syn
Théo jako okłaskująca nas widownia.

Wracaliśmy drogą biegnącą nad urwiskiem. Prowadziłem
wynajęty kabriolet powoli, żebyś mogła nacieszyć się widokiem
na skaliste wybrzeże półwyspu. Doskonale pamiętam tę chwi-
lę: twoje jasne szmaragdowe spojrzenie, niedbale upięte włosy,
krótką spódniczkę, skórzaną rozpiętą kurtkę, spod której widać
było jaskrawożółty T-shirt z napisem „Power to the people”. Na
zakrętach, zmieniając biegi, patrzyłem na twoje opalone nogi,
wymienialiśmy uśmiechy, ty nuciłaś stary przebój Arethy Fran-
klin. Było super, orzeźwiała nas letnia bryza. Tak, doskonale

pamiętam tę chwilę: złote iskierki w twoich oczach, radosna twarz, kosmyki fruujące na wietrze, twoje szczupłe palce wystukujące rytm muzyki na tablicy rozdzielczej.

Willa, którą wynajęliśmy, znajdowała się na terenie dawnej wioski poławiaczy pereł, obecnie eleganckiego skupiska około dziesięciu domów wybudowanych na skale z widokiem na Morze Śródziemne. Kiedy szliśmy zwirowaną aleją przez pachnący żywicą sosnowy zagajnik, rozglądałaś się oszołomiona, napawając się otaczającym nas wspaniałym widokiem.

Doskonale pamiętam tę chwilę, naszą ostatnią chwilę szczęścia.

Cykady. Usypiające dźwięki uderzających o piasek fal. Lekki wietrzyk przecina jedwabną wilgoć powietrza.

Na tarasie na wiszącej skale zapaliłaś świeczki zapachowe i lampki mające spłoszyć komary, a ja nastawiłem płytę Charliego Hadena. Scena jak z powieści Fitzgeralda: stanąłem za barem na świeżym powietrzu i zacząłem mieszać koktajle. Twój ulubiony: Long Island Iced Tea, z dużą ilością lodu i plasterkiem limonki.

Rzadko widziałem cię w tak radosnym nastroju. Mogliśmy spędzić uroczy wieczór. Powinniśmy byli spędzić uroczy wieczór. Ale zamiast tego padłem ofiarą obsesyjnej myśli, dręczącego mnie od pewnego czasu refrenu, nad którym do tej pory panowałem: „Wiesz, Anno, nie powinniśmy mieć przed sobą żadnych sekretów...”.

Dlaczego ten strach, że tak naprawdę cię nie znam, pojawił się znów właśnie tego wieczoru? Czy dlatego, że zbliżał się dzień ślubu? Czy z lęku przed tym decydującym krokiem? Czy z powodu szybkiego tempa, w jakim zapadła nasza decyzja? Z pewnością odegrało tu rolę wszystko razem, plus jeszcze moje własne doświadczenia, bo już raz zdradzili mnie ludzie, którym ufałem.

Podałem ci napełniony kieliszek i usiadłem naprzeciw.

– Anno, mówię poważnie, nie chcę żyć w kłamstwie.

– To dobrze się składa, bo ja również nie. Ale być szczerym nie znaczy wcale, że nie można mieć swoich sekretów.

– Więc potwierdzasz, że coś przede mną ukrywasz!

– Daj spokój, Raphaëlu! Każdy nosi w sobie jakąś tajemnicę. I bardzo dobrze. To część osobowości, intymnej historii, świadczy o naszej wyjątkowości.

– Ja nie mam przed tobą żadnych sekretów.

– A powinienś mieć!

Byłaś zawiedziona, zirytowana. Ja również. Radość i dobry nastrój nagle gdzieś wyparowały.

Mogliśmy na tym zakończyć rozmowę, ale ja się uparłem jak osioł i wbrew zdrowemu rozsądkowi znów cię zaatakowałem. Sięgałem po wszystkie możliwe argumenty, żeby tylko znów zadać to nękające mnie pytanie:

– Dlaczego robisz uniki za każdym razem, gdy pytam cię o twoją przeszłość?

– Bo z definicji wynika, że przeszłość to coś, co minęło. Nie można jej zmienić.

– Przeszłość może postawić teraźniejszość w określonym świetle – zdenerwowałem się. – Dobrze o tym wiesz. Co, do cholery, ukrywasz przede mną?!

– Nie ukrywam niczego, co mogłoby nam zagrozić. Zaufaj mi! Zaufaj nam!

– Och, na wszystko masz odpowiedź! – wykrzyknąłem i uderzyłem pięścią w stół, aż podskoczyłaś, a twoja piękna twarz wykrzywiła się w grymasie rozpacz i lęku.

Zezłościłem się tak, bo sam się bałem i chciałem, żebyś mnie zapewniła o bezzasadności tego strachu. Poznałem cię zaledwie pół roku wcześniej i od razu wszystko mi się w tobie spodobało. Ale to, co mnie z początku uwiodło – tajemniczość, rezerwa,

dyskrecja, to, że lubisz być sama – stało się teraz źródłem obawy, która wracała do mnie wciąż jak bumerang.

– Dlaczego chcesz wszystko zepsuć? – spytałaś mnie zmęczonym głosem.

– Znasz moje życie. Popeliłem wiele błędów. Nie mogę już sobie pozwolić na pomyłkę.

Wiedziałem, jak bardzo cię krzywdzę, ale miałem wrażenie, że jestem gotów usłyszeć wszystko, wszystko przetrwać z miłości do ciebie. Jeśli miałaś mi do wyznania coś bolesnego, chciałem to wziąć na klatę, uwolnić cię od ciężaru tego bólu.

Powinienem wówczas się wycofać, przestać się upierać, ale nie zrobiłem tego. Gadałem i gadałem, i nie oszczędzałem cię, czułem bowiem, że tym razem wreszcie się do czegoś przyznasz. Tak więc metodycznie wbijałem w ciebie piki jak toreador, aż tak cię zmęczyłem, że nie miałaś siły dalej się bronić.

– Chcę tylko usłyszeć prawdę, Anno.

– Prawdę! Prawdę! Powtarzasz w kółko to słowo! Zastanowiłeś się chociaż, czy zdołasz ją znieść?!

Ta zmiana frontu wzbudziła we mnie nagłą wątpliwość. Nagle stałaś się inna. Tusz do rzęs się rozmazał, a w oczach zabłyśł płomień, którego nigdy przedtem nie zauważyłem.

– Chcesz wiedzieć, czy mam jakiś sekret, Raphaëlu? Odpowiedź brzmi: „Tak!”. Chcesz wiedzieć, czemu nie chcę ci go zdradzić? Otóż dlatego, że gdy go poznasz, nie tylko przestasz mnie kochać, ale jeszcze mnie znienawidzisz!

– To nieprawda! Wszystko zniosę.

A w każdym razie byłem o tym wówczas przekonany. Byłem pewien, że niezależnie od tego, co mi wyjawisz, zniosę wszystko.

– Nie, nie, Raphaëlu. To tylko słowa! Słowa, takie jak w twoich powieściach. Rzeczywistość jest od nich znacznie gorsza.

Coś się zmieniło. Puściła jakaś tama. Teraz, wiedziałem to dobrze, również ty byłaś ciekawa, czy naprawdę mam silny cha-

rakter. Też chciałaś wiedzieć, czy wciąż mnie kochasz, czy ja kocham cię wystarczająco mocno... Czy ten granat, który zamierzałaś odbezpieczyć, zniszczy nas, czy nie.

I sięgnęłaś do torebki, z której wyjęłaś iPada. Wystukałaś hasło i otworzyłaś aplikację ze zdjęciami. Powoli przesuwiałaś jedno, potem drugie, aż znalazłaś to, którego szukałaś. Następnie popatrzyłaś na mnie, wyszeptowałaś coś pod nosem i wręczyłaś mi tablet. Oczom moim ukazał się sekret, który z ciebie siłą wyciągnąłem.

– Ja to zrobiłam – powiedziałaś.

Oszołomiony spojrzałem na ekran, mrużąc oczy, i patrzyłem, aż zrobiło mi się niedobrze i musiałem odwrócić wzrok. Po ciele przebiegł mi paraliżujący dreszcz. Ręce mi się trzęsły, krew pulsowała w skroniach. Spodziewałem się czegoś złego. Byłem na to gotowy. Ale nie przyszło mi do głowy, że to będzie właśnie to.

Podniosłem się z trudem na nogach jak z waty. Zakręciło mi się w głowie, zachwiałem się, ale zmusiłem się, żeby zdecydowanym krokiem wyjść z salonu.

Moja torba podróżna stała nierozpakowana w holu. Nie patrząc na ciebie, złapałem ją i wyszedłem.

Otumanienie. Gęsia skórka. W ustach kwaśny smak, spływające po czole krople potu mącące wzrok.

Zatrzasnąłem drzwi kabrioletu i pojechałem w noc jak automat. Byłem rozłoszczony, rozczarowany. W głowie mi huczało, potworność tego zdjęcia mnie poraziła, nic nie rozumiałem, ale czułem, że moje życie właśnie w tej chwili wali się w gruzy.

Po kilku kilometrach spostrzegłem ostre kontury zwalistego fortu carré sterczącego ze skały. Solidne fortyfikacje, ostatni punkt obserwacyjny przy wyjściu z portu.

Nie, jednak nie byłem w stanie tak po prostu odjechać. Już żałowałem swojego zachowania. Pod wpływem szoku straciłem zim-

na krew, ale nie mogłem przecież zniknąć, nie wysłuchawszy twoich wyjaśnień. Wdusiłem pedał hamulca i zawróciłem gwałtownie na środku drogi, najeżdżając na pas zieleni oddzielający jezdnię i nieomal taranując zbliżającego się z naprzeciwka motocyklistę.

Muszę cię wesprzeć, muszę pomóc ci wymazać ten koszmar z życia. Muszę być mężczyzną, którym obiecałem sobie być, kimś, kto zrozumie twoje cierpienie, będzie je z tobą dzielił, zrobi wszystko, żeby złe wspomnienia minęły. Pędziłem z powrotem tą samą drogą: boulevard du Cap, plaża Przyptywów, port w Olivette, fort Graillon i wreszcie wąska dróżka prowadząca do posiadłości.

Zaparkowałem samochód pod sosnami i pobiegłem do domu. Drzwi wejściowe były uchylone.

– Anno! – wykrzyknąłem, wchodząc do holu.

W salonie nie było nikogo. Na podłodze leżało rozbite szkło – najwyraźniej ktoś pchnął regał z półkami wypełnionymi bibelotami na niski szklany stolik, który rozprysł się na tysiąc kawałków. Na środku pobojuwiska leżał pęk kluczy, ten, który podarowałem ci kilka tygodni temu.

– Anno!

Wielkie szklane okno z zasłonami było otwarte. Odsunąłem trzepoczące na wietrze pasy materiału i wyszedłem na taras. Znów cię zawołałem. Odpowiedziała mi cisza. Zadzwonilem. Nie odebrałaś.

Ukląkłem i chwyciłem się za głowę. Gdzie mogłaś być? Co się stało podczas dwudziestu minut mojej nieobecności? Co chowała Pandora w szkatułce, którą otworzyłem, grzebiąc się w przeszłości?

Zamknąłem oczy i zobaczyłem nas... Sześć miesięcy szczęścia, które, jak się domyślałem, na zawsze odpłynęło w siną dal. Te wszystkie plany, rodzina, dzieci – teraz to już się nigdy nie ziści.

Jakież byłem głupi!

Po co mówić, że się kocha, jeśli się nie jest w stanie obronić ukochanej?

DZIEŃ PIERWSZY

Nauczyć się znikać

1

Papierowy człowiek

*Gdy nie mam w dłoniach książki lub gdy nie marzę
o napisaniu jej, ogarnia mnie straszliwa nuda.
Wydaje mi się, że życie można znieść tylko wtedy,
gdy się je wykradnie.*

Gustave Flaubert

1

Czwartek, 1 września 2016

– Moja żona co wieczór zasypia przy panu, całe szczęście, że nie jestem zazdrosny! – Zadowolony z własnego żartu paryski taksówkarz popatrzył na mnie w lusterku i mrugnął. Zwolnił i włączył kierunkowskaz, zjeżdżając z lotniska Orly w kierunku autostrady. – Przyznam, że ją trudno wystraszyć. Ja też przeczytałem jedną czy dwie pańskie książki – pochwalił się taksówkarz, przyglądając wąsy. – Suspens jest zawsze doskonały, ale dla mnie to zbyt ciężka lektura. Te wszystkie morderstwa, przemoc... Z całym szacunkiem, panie Barthélémy, uważam, że pańskie spojrzenie na ludzi jest chore. Gdyby spotykało się w rzeczywistości tylu zбочeńców, co w pana powieściach, byłibyśmy w tragicznej sytuacji.

Wpatrzony w ekran swojej komórki udałem, że nie usłyszałem jego słów. Literatura albo sytuacja na świecie to ostatnie rzeczy, o których chciałbym dyskutować tego ranka.

Było dziesięć po ósmej, wsiałem do pierwszego porannego samolotu, żeby jak najszybciej wrócić do Paryża. W telefonie Anny teraz już od razu włączała się automatyczna sekretarka. Zostawiłem jej co najmniej dziesięć wiadomości z przeprosina-mi, błagałem, żeby się odezwała, bo bardzo się denerwuję.

Byłem bezradny. Nigdy przedtem nie pokłóciliśmy się tak bardzo.

Tej nocy nie zmrzyłem oka, cały czas jej szukałem. Naj-pierw poszedłem do ochroniarzy i dyżurny strażnik poinformo-wał mnie, że podczas mojej nieobecności na teren posiadłości wjechało kilka samochodów, w tym sedan jakiejś firmy wynaj-mującej samochody z szoferem.

– Kierowca mi powiedział, że został wezwany przez panią Annę Becker zamieszkującą willę Przypływów. Porozumiałem się z lokatorką przez domofon i potwierdziła zamówienie.

– Skąd pan wie, że to była firma oferująca samochody z kie-rowcą?

– On miał za przednią szybą wymagany znaczek.

– I nie wie pan, dokąd pojechali?

– A skąd niby miałbym to wiedzieć?

Kierowca musiał zawieźć Annę na lotnisko, a przynajmniej do takiego wniosku doszedłem kilka godzin później, gdy połączy-łem się ze stroną internetową Air France. Wprowadzając nasze dane – bilety kupowałem ja – odkryłem, że pasażerka Anna Bec-ker przebukowała swój bilet powrotny, by zdążyć na ostatni tego dnia lot na linii Nicea – Paryż. Samolot odleciał dopiero o 23.45 z powodu dwóch przeszkód: opóźnień związanych z masowymi powrotami z wakacji oraz awarii systemu komputerowego, która uziemiła wszystkie samoloty tej kompanii na ponad godzinę.

To odkrycie trochę mnie uspokoiło. Anna z pewnością tak się na mnie wściekła, że potłukła szklany stolik i przyspieszyła powrót do Paryża, ale przynajmniej była cała i zdrowa.

Taksówka opuściła autostradę i jej ponure tunele, wjechała na obwodnicę. Ruch był już bardzo duży, a korki jeszcze się zwiększyły przy porte d'Orleans. Prawie nie posuwaliśmy się naprzód. Samochody jechały zderzak w zderzak, przebijając się z trudnością przez tłuste, czarne wyziewy spalin ciężarówek i autobusów. Podsunąłem w górę boczną szybę w samochodzie. Tlenek azotu, substancje rakotwórcze, koncert klaksonów, normalka, jak to w Paryżu...

W pierwszym odruchu chciałem poprosić kierowcę, żeby zawiózł mnie do Montrouge. Chociaż ostatnio mieszkaliśmy razem, Anna zatrzymała swoje mieszkanie, dwa pokoje w nowoczesnym budynku przy avenue Aristide Briand. Była przywiązana do tego miejsca, w którym zostawiła większość swoich rzeczy. Mogłem się spodziewać, że w złości na mnie wróciła właśnie tam.

Samochód wjechał na rondo przy centrum handlowym Vache Noire i zaczął je objeżdżać. Trwało to nieskończenie długo.

– Jesteśmy na miejscu, mistrzu – oznajmił taksówkarz, gdy zjechawszy wreszcie z ronda, dotarł pod nowoczesny, niezbyt ładny budynek i stanął przy chodniku. Spojrzałem na niego – był okrągły i krępy, łysawy, patrzył spode łba, miał cienkie usta i głos Raoula Volfoniego z filmu *Wujkowie zabijacy*.

– Czy może pan na mnie chwilę zaczekać? – spytałem.

– Nie ma problemu. Nie wyłączam licznika.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi wozu i skorzystałem z okazji, że na klatce schodowej pojawił się chłopiec z tornistrem, by wślizgnąć się do holu. Jak zwykle winda nie działała. Wbiegłem na dwunaste piętro jednym ciągiem i zdyszany, opierając ręce o kolana, zapukałem niecierpliwie do drzwi mieszkania Anny. Odpowiedziała mi cisza. Nadstawiłem ucha, ale nie usłyszałem żadnego hałasu.

Anna nie zabrała z sobą kluczy do mojego mieszkania. Jeśli nie była u siebie, gdzie spędziła noc?

Zacząłem dzwonić do wszystkich drzwi na tym piętrze. Jedyny sąsiad, który mi otworzył, i tak mi nie pomógł: niczego nie widział, niczego nie słyszał. To była zasada współżycia w tych wielkich osiedlach.

Rozczarowany zszedłem na ulicę i podałem Raoulowi adres na Montparnassie.

– Kiedy pan napisał swoją ostatnią powieść, panie Barthélémy?

– Trzy lata temu... – Westchnąłem.

– Ma pan coś nowego na warsztacie?

Potrząsnąłem głową przecząco.

– Nic w najbliższym czasie.

– Moja żona będzie zawiedziona!

Nie chciało mi się dalej rozmawiać na ten temat, poprosiłem więc go, żeby pogłośnił radio, bo chcę wysłuchać wiadomości.

Radio było nastawione na jakąś popularną stację i właśnie czytano serwis informacyjny nadawany o dziewiątej rano. Był pierwszy wrzeźnia, dwanaście milionów uczniów szykowało się do powrotu do szkoły, François Hollande gratulował sobie wzrostu gospodarczego, kilka godzin przed zamknięciem okienka transferowego PSG zafundowało sobie nowego środkowego napastnika, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych Partia Republikańska szykowała się do ogłoszenia nazwiska swego kandydata do następnych wyborów prezydenckich...

– Nie za bardzo rozumiem... – Taksówkarz najwyraźniej się uparł. – Czy postanowił pan zrobić sobie wakacje, czy też to syndrom białej kartki?

– Gdyby to było takie proste... – Westchnąłem, wyglądając przez okno.

Tak naprawdę to od trzech lat nie napisałem ani zdania, bo spadło mnie „samo życie”.

Nie cierpiałem na żadną blokadę ani na chwilowy brak natchnienia. Odkąd skończyłem sześć lat, wymyślałem sam dla siebie dziesiątki różnych historii i potrzeba spisywania ich wkrótce stała się centrum mojego życia, kierując na właściwe tory rozbuhaną wyobraźnię. Fikcja literacka stała się moją ucieczką, najtańszym biletem samolotowym, aby znaleźć się jak najdalej od monotonnej codzienności. Lata całe żyłem w świecie wyobraźni. Nie rozstawałem się z notatnikiem i laptopem, pisałem cały czas, wszędzie: na ławkach w parku czy na ulicy, przy stoliku w kafejce, a nawet na stojąco w metrze. A kiedy nie pisałem, myślałem wciąż o moich bohaterach, o ich problemach, romansach. Nic innego się nie liczyło. Banalność realnego świata tak naprawdę nie miała dla mnie znaczenia. Zawsze byłem obok, jak lunatyk poruszałem się w świecie fantazji, którego byłem twórcą.

Od 2003 roku, kiedy to opublikowano moją pierwszą powieść, wydawałem jedną książkę rocznie. Głównie były to kryminały i thrillery. W wywiadach zazwyczaj mówiłem, że pracuję codziennie z wyjątkiem Bożego Narodzenia i moich urodzin – podwędziłem to zdanie Stephenowi Kingowi. Ale, tak jak i w jego przypadku, było to kłamstwo: pracowałem również 25 grudnia i nie widziałem żadnego powodu, aby nie pisać w dzień rocznicy mojego przyjścia na świat.

Postępowałem tak, gdyż rzadko miałem coś lepszego do roboty, niż usiąść przed ekranem laptopa i zapoznać z tym, co się dzieje u moich bohaterów.

Uwielbiałem swoją pracę i świetnie się czułem w świecie suspense, morderstw i przemocy. Tak jak dzieci – przypomnijcie sobie olbrzymia z bajki *Kot w butach*, okropnych rodziców z

Tomcia Palucha, Sinobrodego czy wilka z *Czerwonego Kapturka* – dorośli też lubią się bać dla zabawy. Też potrzebują bajek, żeby odpędzić od siebie strachy.

Entuzjazm czytelników dla kryminałów spowodował, że przeżyłem fantastyczne dziesięć lat, podczas których znalazłem się w wąskiej grupie autorów, którzy mogli żyć z pisania. Co rano, siadając przy biurku, byłem świadom szczęścia, jakiego dostąpiłem, skoro ludzie na całym świecie z niecierpliwością czekają na moją kolejną powieść.

Ale to magiczne koło tworzenia i sukcesu trzy lata temu przerwało się z powodu pewnej kobiety. Podczas kampanii promocyjnej najnowszej książki w Londynie rzecznik prasowy przedstawił mi młodą Angielkę, Natalie Curtis, pracownika naukowego, równie uzdolnioną w dziedzinie biologii co interesów. Była udziałowcem medycznego start-upu, który wdrażał do produkcji prototypowe „inteligentne” szkła kontaktowe, zdolne do wykrywania rozmaitych chorób, ponieważ badały poziom glukozy zawartej w płynie łzowym.

Natalie pracowała po osiemnaście godzin dziennie. Z zaskakującą łatwością żonglowała czasem, wymyślając nowe programy, czuwając nad próbami klinicznymi, nad biznesplanem i podróżując po całym świecie, aby informować na bieżąco o postępach prac badawczych zamieszkałych na różnych kontynentach partnerów finansowych.

Żyliśmy w dwóch różnych światach. Ja w tradycyjnym świecie papieru, ona w systemie cyfrowym. Ja zarabiałem na życie, wymyślając historie, ona wymyślała cienkie jak włos mikroprocesory. Należałem do ludzi, którzy w liceum uczyli się greki, lubili poezję Aragona i pisali listy miłosne wiecznym piórem. Ona żyła i działała w przestrzeni internetu, czuła się jak u siebie w domu w chłodnym, niemającym ściśle wyznaczonych granic świecie portów lotniczych.

Nawet patrząc na to z perspektywy czasu, nie rozumiałem, co nas do siebie przyciągnęło. Dlaczego w tym konkretnym momencie życia uwierzyliśmy, że nasze dziwne spotkanie ma jakiś tajemny sens i że jest nam pisana wspólna przyszłość?

Chciałoby się być tym, kim się nie jest – napisał Albert Cohen. Może dlatego czasem człowiek zakochuje się w kimś, z kim nie ma absolutnie nic wspólnego. Może to pragnienie wzajemnego dopełnienia się każe nam wierzyć w możliwość zmiany, metamorfozy. Tak jakby kontakt z drugą osobą powodował, że stajemy się istotami doskonalszymi, bogatszymi, bardziej otwartymi. Ten piękny w teorii pomysł rzadko realizuje się w rzeczywistości.

Iluzja naszej miłości szybko by się rozwiała, gdyby Natalie nie zaszła w ciążę. Perspektywa założenia rodziny przedłużyła tę iluzję, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Opuściłem Francję, zamieszkałem w apartamencie, który Natalie wynajmowała w Londynie, w dzielnicy Belgravia, i najlepiej, jak umiałem, wspierałem ją podczas całego okresu ciąży.

„Którą ze swoich powieści lubi pan najbardziej?”. Podczas każdej kampanii promocyjnej pytanie to jak bumerang powracało na usta dziennikarzy. Przez lata unikałem bezpośredniej odpowiedzi, zadowalałem się lakonicznym: „Proszę państwa, nie potrafię wybrać, to tak, jakbym miał wybierać między własnymi dziećmi”.

Ale książki to nie dzieci. Byłem na sali porodowej podczas narodzin naszego syna. Kiedy położna wsunęła mi w ramiona maleńkiego Théo, w sekundę uświadomiłem sobie, jak bardzo to stwierdzenie, powtarzane przeze mnie wielokrotnie w wywiadach, miało się z prawdą.

Książki nie są dziećmi.

Książki mają pewną szczególną cechę, która graniczy z magią: są przepustką do innego świata. W trudnych chwilach mogą

stać się źródłem siły. Tak jak mówi Paul Auster, są *jedynym miejscem na świecie, w którym dwoje obcych sobie ludzi może połączyć intymność*.

Ale na pewno nie są to dzieci. Z dziećmi nic nie da się porównać.

3

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu Natalie wróciła do pracy zaledwie dziesięć dni po porodzie. Pracowała coraz dłużej, bez przerwy podróżowała i w ogóle nie miała okazji, żeby w pełni wykorzystać pierwsze – czasem przerażające, choć wspaniałe – tygodnie tuż po narodzinach. Nie wyglądało na to, żeby się tym przejmowała. Zrozumiałem, dlaczego któregoś wieczoru, rozbierając się w garderobie, która była przedłużeniem sypialni, oznajmiła:

– Zaakceptowaliśmy propozycję Google’a. Będą mieli większość kapitału naszej firmy.

Zatkało mnie i potrzebowałem kilku sekund, żeby zareagować.

– Mówisz poważnie?

Z nieobecnym wyrazem twarzy zdjęła buty i zaczęła sobie masować bolącą kostkę, zanim wymierzyła mi ostateczny cios.

– Jak najbardziej poważnie. Od poniedziałku przenoszę się z moją ekipą do Kalifornii.

Popatrzyłem na nią wystraszony. To ona dopiero co leciała przez dwanaście godzin samolotem, a jednak właśnie ja czułem się, jakbym miał *jet lag*.

– Takiej decyzji nie możesz podjąć samodzielnie, Natalie! Musimy przedtem porozmawiać. Trzeba...

Przygnębiona usiadła na brzegu łóżka.

– Przecież wiem, że nie mogę od ciebie żądać, żebyś ze mną jechał do Stanów.

Nie mogłem dłużej wytrzymać.

– Ależ ja muszę z tobą jechać! – wybuchłem. – Przypominam ci, że mamy trzytygodniowe dziecko!

– Nie krzycz! Sama jestem tym zaskoczona, ale nie dam rady, Raphaëlu.

– Z czym nie dasz sobie rady?

Natalie zaczęła płakać.

– Nie dam rady być dobrą matką dla Théo.

Staralem się jej to wyperswadować, ale bez przerwy powtarzała to okropne zdanie, które zdradzało, co naprawdę myślała: „Ja się do tego nie nadaję. Przykro mi!”.

Kiedy zapytałem, jak sobie konkretnie wyobraża naszą przyszłość, utkwiała we mnie spojrzenie pełne wahania, a potem rzuciła na stół kartę, którą od samego początku rozmowy musiała chować w rękawie:

– Jeśli chcesz wychowywać Théo sam, w Paryżu, nie mam nic przeciwko temu. Szczerze mówiąc, uważam, że to jest najlepsze rozwiązanie dla nas trojga.

Kiwnąłem głową w milczeniu, oniemiały na widok ogromnej ulgi, która malowała się na jej twarzy. Ona, matka mojego syna. Potem w sypialni zapadła ciężka cisza. Natalie połknęła środek na sen i wsunęła się do łóżka w kompletnych ciemnościach.

Już następnego dnia wróciłem do Francji i do mojego mieszkania na Montparnassie. Mogłem zatrudnić niańkę, ale nie zrobiłem tego. Byłem zdecydowany uczestniczyć osobiście w dorastaniu synka. A przede wszystkim bałem się, żeby go nie utracić.

Przez wiele miesięcy, za każdym razem, gdy dzwonił telefon, spodziewałem się usłyszeć głos adwokata Natalie oznajmiający, że jego klientka zmieniła zdanie i żąda wyłącznego prawa opieki

nad Théo. Ale nigdy nie odebrałem tego straszego telefonu. Przez dwadzieścia następnych miesięcy nie miałem żadnej wiadomości od Natalie. Dwadzieścia miesięcy, które minęły jak z bicza trzaśł. Dni, które dawniej zorganizowane były wokół pisanja, teraz wypełniały butelki do karmienia niemowląt, słoiczki z jedzeniem, przewijanie, pieluszki, spacer w parku, kąpiele w precyzyjnie odmierzonej temperaturze trzydziestu siedmiu stopni i ciągle pranie. Brakowało mi snu, denerwowałem się przy najmniejszych skokach temperatury synka i bałem się, że nie dam sobie rady.

Jednak nie zamieniłbym tych dni na nic na świecie. Jak świadczy o tym pięć tysięcy zdjęć w mojej komórce, pierwsze miesiące życia synka były początkiem fantastycznej przygody, której byłem bardziej aktorem niż reżyserem.

4

Avenue du Général Leclerc. Ruch słabnie. Taksówka przyspiesza, kierując się na wieżę kościoła Saint Pierre de Montrouge. Place d'Alésia, samochód wjeżdża w avenue du Maine. Przez gałęzie drzew przebijają jasne promienie słońca. Białe fasady kamiennych domów, dziesiątki sklepików, tanie hotele.

Zamierzałem wyjechać z Paryża na cztery dni, a tymczasem kilka godzin później już byłem z powrotem. W popłochu zacząłem wysyłać SMS-a do Marca Caradeca, jedyne go człowieka, któremu ufałem na tyle, żeby zostawić synka pod jego opieką. Od kiedy zostałem ojcem, zwariowałem zupełnie na punkcie jego bezpieczeństwa, tak jakby te scenariusze morderstw i porwań, które wymyślałem w moich kryminałach, mogły się urzeczywistnić. Odkąd Théo przyszedł na świat, pozwoliłem zająć się nim tylko dwóm osobom. Były to: Amalia, dozorczytni, którą

znałem od ponad dziesięciu lat, i Marc Caradec, mój sąsiad i przyjaciel, były oficer BRB*. Odpowiedział mi natychmiast:

Nie przejmuj się. Złotowłosa jeszcze śpi. Jestem czujny, zauważę natychmiast, gdy się obudzi. Włączyłem już podgrzewacz butelki, wyjąłem przecier z lodówki i przygotowałem jego wysokie krzesetko. Opowiesz mi, co się stało. Trzymaj się.

Odetchnąwszy z ulgą, znów wybrałem numer Anny, ale wciąż odzywała się poczta głosowa. Wyłączyła komórkę? Wyładowała się jej?

Rozłączyłem się i przejechałem dłonią po oczach. Wciąż byłem oszołomiony tempem, w jakim rozpadła się moja rzeczywistość. W głowie bez przerwy odtwarzał mi się film z wczorajszego dnia i nadal niczego nie rozumiałem. Wyglądało na to, że żyliśmy sobie pozornie szczęśliwi jak w szklanej kuli, która zasłaniała niezbyt piękny świat. Czy powinienem niepokoić się o Annę, czy też się jej bać? Przy tym ostatnim pytaniu dostałem gęsiej skórki. Przecież jeszcze kilka godzin wcześniej byłem przekonany, że spotkałem wreszcie odpowiednią kobietę: tę, na którą czekałem od lat i z którą byłem zdecydowany mieć jeszcze inne dzieci.

Poznaliśmy się pół roku wcześniej, w lutym, na pogotowiu dziecięcym w szpitalu Pompidou, gdzie znalazłem się o pierwszej w nocy. Théo dostał nagle wysokiej gorączki, która nie spadała. Zwinął się w kłębek i nie chciał nic jeść. Uległem idiotycznej pokusie sprawdzenia symptomów w internecie. W miarę przesuwania się stron upewniałem się, że Théo dostał zapalenia

* BRB – *Brigade de Répression du Banditisme* (fr.), Brygada ds. Zwalczenia Bandytyzmu – oddziały specjalne policji kryminalnej podległe francuskiemu Ministère de l'Intérieur (Min. Spraw Wewn.).

opon mózgowych. Kiedy wpadłem na zatłoczoną poczekalnię pogotowia, byłem nieprzytomny ze strachu. Zobaczywszy tłum oczekujących przed sobą, zacząłem się awanturować: nie, nie uspokoję się, dopóki mój syn nie zostanie zbadany przez lekarza, i to natychmiast! Dziecko może umrzeć, on...

– Nic takiego się nie stanie, proszę pana, spokojnie...

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się nagle przede mną młoda lekarka. Poszedłem za nią do gabinetu, gdzie dokładnie zbadała syna.

– Pański synek ma powiększone węzły chłonne... – stwierdziła, macając mu szyję. – Zapalenie migdałków.

– Zwykła angina?

– Tak. Nie chce jeść, bo jest mu trudno przełykać.

– Czy antybiotyki to wyleczą?

– Nie, to jest infekcja wirusowa. Proszę mu dawać paracetamol i za kilka dni będzie zdrow.

– Jest pani doktor pewna, że to nie zapalenie opon mózgowych? – upierałem się, wkładając zaspanego synka do nosidełka.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Niech pan przestanie wchodzić na medyczne strony w internecie. Niepotrzebnie szarpią ludziom nerwy...

Odprowadziła nas przez długi korytarz szpitalny. Gdy zegnaliśmy się, uspokojony, że z moim synkiem wszystko w porządku, wskazałem na dystrybutor do napojów i usłyszałem, jak mówię:

– Stawiam pani kawę?

Lekko się zawahała, po czym uprzedziła koleżankę, że robi sobie chwilę przerwy, i przez kwadrans dyskutowaliśmy w wielkim szpitalnym holu.

Nazywała się Anna Becker. Miała dwadzieścia pięć lat, odbywała drugi rok stażu na oddziale pediatrycznym i nosiła biały fartuch, jakby to był płaszcz Burberry. Wszystko w niej było

dyskretnie i eleganckie: dumne noszenie głowy, delikatne rysy twarzy, łagodny i ciepły głos.

Korytarz szpitalny, w którym chwile spokoju przeplatane były momentami straszliwego zamieszania, tonął w nierealnym świetle. Mój syn zasnął w nosidełku. Patrzyłem na Annę, która akurat w tej chwili zamrugała oczami. Już dawno nie wierzyłem, że anielska twarz musi świadczyć o szlachetnej duszy, ale te długie zakręcone rzęsy, oliwkowa cera, gładkie włosy okalające miękko jej twarz, wszystko to oczarowało mnie.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała, wskazując brodą na zegar ścienny.

Mimo to uparła się, żeby nas odprowadzić aż na postój taksówek znajdujący się jakieś trzydzieści metrów od wejścia. Był środek nocy, zima polarna. Kilka podobnych do wacików płatków śniegu tańczyło w powietrzu. Czując obecność Anny tuż obok, nagle doznałem dziwnego wrażenia, że już jesteśmy parą. A nawet – rodziną. Jakby gwiazdy wypisały to na niebie. Jakbyśmy mieli wszyscy razem zaraz wrócić do domu.

Umieściłem siedzisko synka na tylnym siedzeniu samochodu i odwróciłem się do Anny. Światło latarni zabarwiała na błękitno parę, która unosiła się z jej ust. Chciałem powiedzieć coś śmiesznego, ale zamiast tego spytałem, o której kończy dyżur.

– Jeszcze trochę... O ósmej.

– Jeśli chce pani przyjść do nas na śniadanie... W piekarni obok można kupić fantastyczne croissanty.

Podaliśmy jej swój adres. Uśmiechnęła się. Moja propozycja zawisała na moment w lodowatym powietrzu, pozostając bez odpowiedzi. Potem taksówka ruszyła i przez całą drogę powrotną zastanawiałem się, czy ona też poczuła to samo co ja.

Źle spałem, ale następnego ranka Anna zadzwoniła do moich drzwi w chwili, gdy Théo kończył swoją butelkę. Już czuł się dużo lepiej. Włożyłem mu czapkę i ubranko, i żeby dotrzymać

słowa, wszyscy troje wyszliśmy kupić słodkie bułeczki. Był niedzielny poranek. Paryż zasypany śniegiem. Niebo miało metaliczną barwę; zimowe słońce rzucało ostre promienie na jeszcze nieskalane białe chodniki.

Tak oto odnaleźliśmy się i od tego pierwszego magicznego ranka już się nie rozstawaliśmy. Minęło sześć idyllicznych miesięcy najszczęśliwszego okresu w moim życiu.

Nie pisałem już, ale żyłem. Wychowywanie dziecka i to, że byłem zakochany, zaangażowało mnie w rzeczywistość i uświadomiło, że zbyt długo moje wszystkie dni wypełniała fikcja. Jako pisarz przeobrażałem się w różne postaci, niczym tajny agent doświadczałem różnych rodzajów ludzkiej egzystencji. Ale żyłem *per procura*, zapominając o jedynym wyjątkowym życiu, które istniało naprawdę, czyli o moim własnym.